



Rozdział VII

- Czcigodni przodkowie... – Najstarszy Nameczanin westchnął ciężko.

Do tej pory zmysły zawodziły go jedynie w przypadku młodego pokolenia. Znikali, w całkiem różnych miejscach na planecie, by pojawić się w całkiem gdzie indziej. Czasem nie wyczuwał ich jedynie chwilę, niekiedy całymi dniami. Niektórych nie czuł już od tygodni, ci byli najstarsi, z pierwszego lęgu – zupełnie jak jego strażnicy – i mieszkali już samotnie. Gdy wysyłał swoich przybocznych do ich domów, wracali z meldunkami, że wszystko jest w porządku... dopadła go już starość.

Jednak kiedy w pewnej chwili przestał nagle wyczuwać ki przybyszy z Ziemi, całkiem nowe spostrzeżenia zawładnęły jego pragnącym spokojem umysłem.

Chciał teraz być sam.

Jego strażnicy patrolowego teren z oddali.

W przylegającym do jego kwatery budynku walczył o życie młody Ziemianin.

W samotności czuł obok siebie obecność poprzednich Najstarszych. Czasami coś doń szeptali. Starał się wsłuchiwać w te szepty i podążać wedle ich wskazówek... Jak wtedy z kulami. Tuż przed tym, jak zaginęły. Gdy szukał sposobu, by nigdy nie było już ryzyka, że ktoś taki jak Freezer będzie mógł się nimi posłużyć... Teraz to nie zda się na nic.

Wtedy to poczuł.

Poczuł ich wszystkich.

I kawałki zaczęły układać się w całość. Już wiedział, że niepotrzebnie wpatrywał się nocami w niebo z niepokojem poszukując łuny ciągnącej się za silnikami najeżdżących statków.

Zagrożenie przyszło z innej strony.

Zamknął oczy i westchnął ciężko po raz wtóry, a potem zatopił się w ciemności.

- Nikogo tu nie ma! – krzyknął pełen złości. – Ty mały kłamco!

W furii pokonał dzielący ich dystans i jedną ręką podniósł go do góry.

- Nawet nie wyobrażasz sobie, jaki ból jestem w stanie zadać! – wysyczał przez zęby i spojrzał wzrokiem pełnym żądz mordy, takim, który upodabniał go do jego ojca, Piccolo Daimao.

Pripo za to zobaczył w nim podobieństwo do najstarszego spośród nowych Nameczan, Saichoro. Wiedział, że z takimi nie ma żartów.

- Powinni tu jeszcze być! Przysięgam! –wycharczał podduszany Nameczanin. – Chyba, że...
gruhh...

- Picollo, puść go! - zaprotestował Goten.

- Martwy już nic nam nie powie. – poparł go Trunks.

Obydwaj siedzieli na ruinach tego, co niegdyś było posągiem upamiętniającym zamieszkującą przed tysiącami lat ten świat rasę. Po tym, co zobaczyli przemierzając podziemne miasto, nie mogli się wprost powstrzymać, by nie zmienić ohydnej statui w kupę gruzu.

Picollo przemyślał sprawę i zwolnił uścisk.

Prippa, już granatowiejący na twarzy, upadł na ziemię.

- Nie czekali na mnie... – wycharczał pobierając szyję.

- Na co nie czekali?! – Picollo stracił cierpliwość i wyszedł z niego prawdziwy demon. – Albo zaraz zaczniesz gadać, albo rozwalę całą tę planetę w drobny mak!

Dwaj pół-saiyane musieli go powstrzymać, by nieopatrzny kopniakiem nie zakończył życia jeńca.

- Smocze kule! – krzyknął Prippa przerażony, chcąc uratować własną skórę. –Saichiro ma plan... – wyznał im. – Chce odmienić świat dla wszystkich Nameczan. Potrzebuje do tego trzech życzeń. – postanowił powiedzieć im wszystko. –Opowiedział mi to dokładnie podczas wtajemniczenia, kiedy do mnie przyszli. Nie chciałem się zgodzić, ale on ma rację! – spojrzał po swoich dawnych przyjaciółach, nie zanosilo się na to, by mieli mu przerywać – Nameczanie muszą być silniejsi i liczniejsi, muszą się zmieniać i zmieniać świat. Bez tego znów kiedyś pojawi się zagrożenie, przed którym się nie obronimy. Musimy być... bardziej, jak wy. I nasz świat także. – recytował. –Dlatego Saichoro poprosi Poruge, o siłę dla wszystkich Nameczan, o to, by planeta zaroila się od życia... I o wolność dla nas wszystkich. Nameczanie są ograniczani, niewoleni przez naturę, która każe im się podporządkować Najstarszemu.

Sasichoro zmieni to, mimo, że sam jest dla naszego pokolenia jak Najstarszy.

Trójka wojowników wymieniła spojrzenia. Goten wydawał się zupełnie nie rozumieć tego, co usłyszał... albo, jak zwykle w podobnych sytuacjach, nie słuchał zupełnie. Picollo zamyślił się i jakby zatopił w swoim wnętrzu. Trunks za to zachował trzeźwy osąd.

- Na pewno już wyszli na zewnątrz, żeby przywołać smoka! – krzyknął.

Wszystko było już gotowe.

Opuścili podziemia wewnątrz skalnej kotliny, na tyle szerokiej, by ułożyć kule i przywołać smoka, jednak osłaniającej ich wysokimi ścianami kamienia przed wzrokiem ciekawskich. Oczywiście, byli widoczni z góry, Najstarszy pewnie od razu ich wyczuł, jednak on i jego ochroniarze nie stanowili zagrożenia. Taki wybór miejsca był tylko zbytkiem ostrożności wobec przypadkowego zdemaskowania – może nie było to racjonalne, jednak Saichoro przez lata ukrywania swoich motywów, planów, a nawet swojej obecności, nabrał pewnych nawyków, z którymi trudno byłoby walczyć.

- Nie możesz tego zrobić! - zawołała Bulma, przytrzymywana przez dwóch Nameczan. – Kto dał ci prawo decyzji?!

- Milcz, obca! – w ustach przywódcy Nowych Nameczan było to niczym najgorsze przekleństwo. – Dawni Nameczanie są słabi, są starzy, są reliktem! My, nowe pokolenie, jesteśmy po to, by podejmować decyzje!

- Nikt z nich się na to nie zgodzi. – wtrącił się Dende. – Może jesteście silniejsi i zebraliście się razem, ale ich jest więcej. Póki żyje Najstarszy...

Saichoro uśmiechnął się tak okropnie, że Dende zamilkł, ściśnięty w gardle strachem. Nie, nie o siebie.

- Jeśli o nim mowa. – odezwał się Saichoro z szyderstwem w głosie. – Jak tylko smok zniknie, moi bracia, którym tak wierzył, by zrobić z nich strażników, pozbawią go życia.

Dende zamilkł. Bulma zaczęła wierzgać próbując się wyrwać, jednak obezwładnili ją i zakneblowali.

Kule leżały na skalnym ołtarzu i lśniły złotym światłem. Większe kilkukrotnie od ziemskich wyglądały majestatycznie. Dende nie mógł uwierzyć, że to ostatni raz, kiedy je widzi.

- Przybądź boski smoku. – odezwał się Saichoro po nameczansku. – Spełnij moje życzenia! Niebo pociemniało.

Zabłakane błyskawice rysowały swe ścieżki od chmur do chmur, niekiedy któraś z nich znajdowała drogę nas ład poprzez niewidzialny korytarz łatwo przewodzących elektryczność pierwiastków. Po chwili jedna z nich odnalazła ścieżkę do zebranych kul i uderzyła w nie, wypełniając powietrze zapachem ozonu. Kule zaświeciły mocniej, uniosły się nad ziemię... i wystrzelił z nich smok. Wyglądało to tak, jakby ktoś raptownie napompował wielki balon – albo jak odwrotność czarnej dziury, biały, zaginający czasoprzestrzeń punkt, z którego wystrzelił obiekt gigantycznych rozmiarów.

Smok ryknął, rozejrzał się, a gdy wypatrzył już Saichoro, przemówił gardłowym basem.

- Wypowiedz swoje pierwsze życzenie, byle szybko.

Saichoro miał już się odezwać, gdy przez tłum Nameczan przecisnął się posłaniec.

- Panie! – krzyknął. – Oni wiedzą! Pripo prowadzi ich do Sali Posągu!

- Cholera! – zaklął Saichoro, który na szybko musiał zmodyfikować swoje plany. – Smoku! Spraw bym był najsilniejszy!

- Twoje życzenie... – rozpoczął Poruga, jednak przerwał i zbliżył swą ogromną twarz do przywódcy nowego pokolenia. - ...nie może zostać spełnione.

Wszyscy zebrani zamarli w osłupieniu. Bulma wykorzystała ten moment i udało jej się wyrwać, akurat na tyle, by przyczołgać się do Dende. Kompletnie nie rozumiała, co się działo – nie знаła nameczanskiego – i potrzebowała wyjaśnień.

- Smok nie spełni jego życzenia. – Szepnął Dende.

- Dlaczego?! – przywódca Nowych Nameczan był spanikowany. – Zebrałem kule i...

- Spełniam życzenia tylko od Nameczan. – odrzekł smok. – Taką umowę zawarł ze mną obecny Najstarszy. Jeżeli nie ma pośród was...

- Przecież JA jestem Nameczaninem! – zaproponował bliski rozpaczy.

- Z zewnątrz jesteś całkiem podobny i niemal mnie oszukałeś. – odparł Poruga, gniewnie, tracąc cierpliwość. – Ale w środku... nie. Jesteś czymś zupełnie innym.

- Przecież to nie sprawiedliwe! – wrzasnął Saichoro. – To rasizm!

- Hahaha, pokonany własną bronią! – zadrwiła Bulma, której Dende wszystko wyjaśnił. Saichoro spojrzał na nią, jakby widział ją pierwszy raz. Przez to wszystko zupełnie zapomniał o swoich jeńcach. Uśmiechnął się ironicznie, kiedy wszystko sobie przemyślał. Los kolejny raz się do niego uśmiechnął.

- Ty! - wskazał na Dende. – Ty wypowiesz życzenie!

- Nigdy ci nie pomogę. – zapierał się Dende.

Saichoro, ponaglany przez smoka, który miał już zniknąć, dopadł do niego i podniósł go do góry.

- Pomożesz! Inaczej będziesz cierpieć! – zagroził. – Nie, nie ty. Obca!

Bulma wytrzeszczyła oczy ze strachu. Przypomniała sobie to, co widzieli na nagraniu w podziemnym mieście. Wszystkie te narzędzia kaźni...

- Rób co każe, Dende! – krzyknęła.

- Dobrze. – były ziemski bóg uległ, jakby trochę zbyt szybko. – Zrobię to.

Saichoro pozwolił podejść mu do smoka, pewien swojego zwycięstwa. Czas nagiął. Przez wtrącenie się przybyszy musiał zmienić swoje plany... ale może to i lepiej? Wielka siła należała się komuś o tak wielkich planach. Do tego nie mógł pozwolić intruzom żyć... a to będzie sposób, by się ich pozbyć.

- Smoku, smoku – zaczął Dende. – Spełnij me życzenie!

Poruga zlustrował go spojrzeniem.

- Jesteś Nameczaninem. – podsumował. – Masz prawo.

I Dende odezwał się po nameczansku.

Bulma nie rozumiała, co powiedział, jednak musiało to nie być spełnienie marzeń dla przywódcy bandy, bo nachmurzył się i niemal szczerwieniał. A potem jej ciało przeszły ostrza bólu. Jej kończyny wygięły się w nienaturalny sposób, wyprężyła kręgosłup. I krzyczała. Trzej nowi Nameczanie celowali do niej z dziwnych urządzeń, które były wytworem technologii demonów, rdzennych mieszkańców tej planety.

- Bohatersko uzdrowiłeś swojego chorego przyjaciela, ale nie pomyślałeś o niej! – ryknął Saichoro, złapawszy Dende za twarz. Zmusił to, by patrzył na cierpienie swojej przyjaciółki.

- Mam się stać najsilniejszym bytem na świecie! – krzyknął. – Inaczej ona umrze w taki sposób!

Dende nie chciał współpracować.

Przykro mi było z powodu Bulmy, jednak istniały jeszcze ziemskie smocze kule, a zaświaty nie były takim złym miejscem. Teraz, kiedy Uub jest uzdrowiony, wszystko musi skończyć się dobrze. Trochę cierpienia nie...

Wtedy sobie coś uzmysłowił.

- Dobrze, przestań, pomogę ci! Naprawdę!

Saichoro zaśmiał się i uniósł dłoń, w geście nakazującym jego protegowanym zaprzestanie tortur. Podeszedł do Porugi wraz z Dendem.

- Mów! – rozkazał. – Kolejny taki numer nie przejdzie! Zaknebluje cię nim skończysz zdanie! Dende kiwnął głową i wypowiedział życzenie po nameczansku. Spojrzał głęboko w smocze szkarłatne oczy, jakby chciał myślą wpłynąć na treść swoich słów.

Poruga był niewzruszony.

- Życzenie zostało spełnione. – odpowiedział i Saichoro rozbłysnął nagle światłem złotym niczym smocze kule.

- Czujeee... Siłę! – krzyknął ekstatycznie, aż ziemia zadrżała.

- Nie tak miało być! – krzyknął ktoś z nieba, znajomym głosem.

Postaci zbliżały się z niesamowitą prędkością, tak, że w jednej chwili widoczne jako małe kropki na rozbłysku błyskawicy, w drugiej stały już na krawędzi kotliny.

- Jesteś kłamcą! – kontynuował Pripo. – Nie takie miało być życzenie!

- To nic. Tak jest lepiej. – wtrącił z uśmiechem Picollo, który już rozciągał ramiona. – Prawda, chłopaki? - Trunks i Goten już zaczęli się rozgrzewać.

- Jakie będzie trze... – Poruga nie dokończył. Stało się coś nieoczekiwanego. Niebo w jednej chwili odzyskało swój dawny, przebijający fioletem i zielenią kolor. Wiatr uspokoił się a chmury znikły. Zniknął też Poruga.

A wraz z nim smocze kule. Nie pozostały nawet ich kamienne odpowiedniki, jedynie kupka popiołu.

- Najstarszy! –Dende rozumiał jako pierwszy, co zaszło. Poczuł to głęboko w swoim wnętrzu. Może jako jedyny, który był tu rdzennym Nameczaninem. – Najstarszy nie żyje!

- Co? –Saichoro dopiero dochodził do siebie po duchowym uniesieniu. Rozejrzał się w koło by rozeznąć w sytuacji.

Smoka nie było.

Jego plany co do jednego wzięły w łeb.

Jego ludzie co do jednego leżeli nieprzytomni, rozrzućeni wewnątrz kotliny. Zostali rozgromieni nie wiadomo kiedy przez trójkę przybyszy, którzy już zaopiekowali się obcą.

Puścił Dendego, cisnął nim w skalną ścianę, aż tamten wbił się w nią, odciskając swój obrys. Nie był już ważny.

Nic już nie było ważne.

Wspomnił te wszystkie lata, które zaprowadziły go do tego miejsca.

Był pierwszym ze swojego rodzaju. Zawsze inny. Zawsze samotny. Dziecko pośród starców. Wiedział, że różni się od nich, jednak nie potrafił znaleźć wytłumaczenia, ani zadać właściwego pytania. Szukał miejsca dla siebie. Szukał jednego miejsca w tym świecie, gdzie poczuje się niczym wśród swoich. I znalazł je. Noc, gdy usłyszał szept i ruszył do jego źródła zapisała się na trwałe w jego pamięci. Tam spotkał swoich braci. Duchy pośród rur i kamieni. Długo rozmyślał na tym, czy nie zostać w tym miejscu samotnie. Nie zostawić go dla siebie. Wtedy zaczęli pojawiać się kolejni. Nowi Nameczanie. Reprezentanci jego pokolenia. Tam,

pośród ruin i echa starożytnych telewizorów odzywających się w dawno wymarłym języku, który zdawał mu się znajomy, zrodziły się jego idee. Chciał poprowadzić swoją rasę! Wolną, zwolnioną od ucisku obłąkanego starczego umysłu! Odważnie stającą ku przyszłości! Wiedział, że tylko tak zapewni jej przetrwanie. Zwycięzą najsilniejsi! Przecież już raz niemal nie zostali wymazani z wszechświata i to za sprawą kaprysu jednej istoty...

Wszystko jednak wzięło w łeb.

Plan, który snuł przez lata (jakże ciężko było zdobyć jego braciom tak wielkie zaufanie Najstarszego, by zostali jego gwardią?!), został zniszczony przez pojawienie się intruzów. Cegielka po cegielce, rozkładali jego marzenie na stos absurdalnych mrzonek, aż nic z niego nie pozostało.

Pozostał mu gniew. I zemsta.

- Mamo, ukryj się gdzieś. – poprosił Trunks, gdy Bulma stanęła na nogi. – Zajmij się Dende, a my postaramy się to stąd odciągnąć. – kiwnął głową na Saichoro, który płonął zgniłozieloną aurą.

Kobieta kiwnęła głową i pobiegła by skryć się wśród skał.

- No chodź. – Picollo przywołał go ręką, podekscytowany. Nie chodziło o fakt, że po raz pierwszy od lat pojawił się groźny przeciwnik, w końcu dawny największy wróg Goku pozostawał daleko w tyle za siłą saian. Nie kierowała nim też chęć przetestowania w prawdziwej walce tego, co dały mu kolejne lata treningów. Najbardziej pragnął się przekonać, jak wielką siłą mogą dysponować Nameczanie... nawet, jeżeli Saichiro nie był nim do końca. Przecież on sam też nie urodził się na Namek.

– Pokaż co to znaczy być najsilniejszym. – prowokował przywódcę Nowych Nameczan. Zaczęło się.

Znalazł go w bocznym korytarzu, ukrytym w cieniu, gdzie transmisję odbierał mały, śnieżący telewizor zamontowany u sufitu. Nie było tu nikogo więcej. To była strefa wyłączona dla wszystkich odwiedzających. Można było tu porozmawiać bez obawy o dyskrecję.

- Lepszy widok miałbyś z miejsc dla zawodników. – Gohan mógł chodzić, gdzie chce. Tak samo jak wszyscy jego przyjaciele, dzięki znajomościom z Satanem.

- Co? – odparł zamaskowany Goku swoim zwyczajnym głosem, po czym natychmiast zaczął to modulować. – Ehm... Co?! Jak tu wszedłeś?

- Nie musisz przede mną udawać, tato. –bez ogródek zdradził, że zna jego sekret. – Wiem, że to ty. I wiem dlaczego to zrobiłeś.

Goku podbiegł do niego i zasłoniwszy usta maski z jednej strony, wyszeptał:

- Tylko nie mów mamie, dobra. Ani Videl. – dodał z autentycznym przerażeniem. Mimo swojej siły, Goku zawsze żywił do kobiet pewien rodzaj nabożnego lęku.

Gohan roześmiał się pod nosem.

- Możesz się o to nie martwić. – uspokoił go. –Przyszedłem tu, by zapytać o coś innego.

- Hm? – zdziwił się zamaskowany saianin.

- Gdzie nauczyłeś się maskować ki? Co się z tobą działo przez ten czas? Byłeś w innym wszechświecie? – zasypał to pytaniami, pamiętając, czemu Shenlong nie mógł sprowadzić ojca z powrotem.

- Ah, to. – Goku roześmiał się i podrapał się po plecach w charakterystycznym dla siebie geście. – To ta maska. Otrzymałem ją od... to tajemnica.

- Mamooo! – zawołał nagle Gohan.

- Ciii. – zamaskowany saianin przyłożył mu dłoń do ust. – Dobrze, powiem. – uległ. – Co z tobą? Kiedyś byłeś posłuszniejszy. – napomniął go.

- Zmieniłem się, dzięki doświadczeniu z pewną kilkulatką, którą rozpieszczasz jak możesz. – odpowiedział i wyczekiwał historii.

- Nim jednak zacznę, spójrz. – Goku zbliżył się i uchylił fragment maski.

Gdy się obudził, od razu poczuł, że coś jest nie w porządku.

Wstał, jeszcze oszołomiony i na wpół świadomy, sięgnął po wypełniony dziwną w smaku wodą dzban. Wypił wszystko. Był szalenie spragniony. I głodny. Tuż obok naczynia leżały dziwne, przypominające ryżowe kulki, brązowe i oleiste kluchy... pachniały obco, ale dobrze. Pochłoniął je w sekundzie, po czym zauważył, że nie ma ubrań.

Odnalazł je szybko, w ściennej wnęcie, wyglądającej jak szafa bez drzwi.

Wtedy coś do niego dotarło.

Wyczuwał wielką grupę Nameczan zebranych w jednym miejscu, razem z nimi Bulme i Dende. Nie wyczuwał jednak reszty towarzyszy.

Ubrał się szybko i wpadł do kolejnego pomieszczenia.

Dokładnie w takim momencie, by móc usłyszeć ostatnie słowa starego Nameczanina, który właśnie wydawał z siebie ostatnie tchnienie.

- Podejdz. – powiedział do Uuba cicho, jakby przez sen. – Jakie to szczęście... – chłopiec nie wiedział co robić, posłuchał jednak starca i zbliżył się na wyciągnięcie ręki. – Powiedz im, że muszą zacząć od nowa... Niech wybacza sobie wzajemnie. – wyszeptał Najstarszy i dotknął głowy murzynka.

Wtedy spłynęło na niego zrozumienie.

Natłok informacji, o tym co się działo gdy leżał nieprzytomny, ale także innych, o tym co działo się na Namek, o tym, jak wiele wiedział Najstarszy, zalał go strumieniem blasku niczym nakierowane prosto w oczy światło latarki.

I była też Tajemnica.

Błysk zgasł. Połączenie się zakończyło. Ręka Najstarszego opadła bezwładnie, a pierś wydała ostatnie tchnienie. Uub – mimo, że spotkali się po raz pierwszy – poczuł się tak, jakby stracił przyjaciela. Otarł przedramieniem łzy, których nie potrafił powstrzymać. Był wojownikiem, jednak nadal dzieckiem.

Dzieckiem, przed którym stało ważne zadanie.

Wykrzesał swoją ki, która otoczyła to ognista aurą i wystrzelił w stronę gdzie, jak podpowiadały mu zmysły, toczyła się już walka.

Pozostawił po sobie jedynie dziurę w kopulastym suficie.

Na zewnątrz czekali na niego strażnicy.

Wiedział, co robić.

Yowamuchi nie wierzył własnym oczom.

Już poprzednie walki pokazały, jak nieprawdopodobne mogą być umiejętności uczestników, czasami wręcz przypominające magię...

- To nie magia. – zaśmiała się staruszka siedząca po prawo.

Yowamuchi zetknął na nią i rozdziawił usta w niedowierzaniu. Starowinka unosiła się w powietrzu na szklanej kuli!

- Jak się tu znalazła?! – pisnął.

- Co? Ja? – staruszka jakby nie rozumiała pytania. – Jestem tu przez cały czas.

- Nie możliwe! – zarzekł się naukowiec. – Z pewnością bym zauważył...

- Tak samo, jak miałeś odszukać Gohana, albo jak przed chwilą kompletnie zignorowałeś fakt, że czytam ci w myślach? – spojrzała na niego spod oka, choć zupełnie nie wrogo.

- Niedorzeczne. – parsknął. – Aaa już rozumiem. – uśmiechnął się w profesorski wszystkowiedzący sposób. – To jakaś sztuczka. Wynajęli cię, żeby zrobić sobie ze mnie żarty. Kobieta nic nie mówiła. Patrzyła tylko na niego tymi swoimi wylupiąstymi oczami, wyzierającymi spod siwej czupryny i szpiczastego kapelusza.

- Jaki to ma napęd? – zapytał, kiedy obmacał kulę. – Gdzie jest wmontowany? – kontynuował już z mniejszym przekonaniem. – Bo jakiś musi mieć... prawda?

Babinka roześmiała się.

- Nie martw się. – pokrzepiała go. – Jak tylko skończymy rozmawiać znów twój mózdek uzna taki fakt za nieistotny. Tak już z niektórymi jest.

- Nie rozumiem...

- Nie musisz. – spojrzała na niego surowo. – Spójrz, coś się dzieje.

Rzeczywiście, walka, wydawało się, że zakończona, przybrała nieoczekiwany obrót. Kilkułatka jakby dostała zastrzyku energii i zaczęła dominować nad przeciwnikiem, który ledwie chwilę wcześniej posłał ją na łopatki. Światło słońca odbijało się od wszelkich połyskujących powierzchni i w dziwny sposób skupiło wokół dziewczynki, która zdawała się płonąć żywym ogniem.

Tenshinhan został zepchnięty do defensywy, jednak on też miał asa w rękawie.

Yowamuchi nie mógł uwierzyć w to, co widzi (nie, żeby stało się to po raz pierwszy podczas tego turnieju) – tam, gdzie ledwie przed chwilą był jeden trójoki mężczyzna, teraz było ich trzech. Nie wyglądali bynajmniej tak samo, choć podobieństwo było uderzające. Przypominali warianty tej samej postaci, z nieznacznie odmienną posturą, rysami twarzy... wszystkich zaś łączyły oczy.

Yowamuchi nie byłby w stanie tego dostrzec, jednak kamery jakimś cudem uchwyciły zbliżenie całej trójki. Każdy z nich miał otwarte oko na czole, z każdego oka wзираła potrójna źrenica. Mutacja, jaką niewątpliwie była ta anomalia, dawała przerażający i oszałamiający efekt. Tylko skąd wzięło się tych dwóch?

„To nieuczciwe!” wołali niektórzy, „przerwać walkę”, ale wśród obecnych było też tacy, którzy pamiętali dawne występy Tenshinhana i uciszali ich skutecznie. Yowamuchi nie mógł się w tym odnaleźć. Trójki dokonał podziału?!

- Nie, to nie to. – odezwała się staruszka, o której naprawdę zdążył już zapomnieć, którą jego mózg wyrzucił ze świadomości unikając poznawczego dysonansu. – Wcześniej jego klony były identyczne, a siła dzieliła się na trzy. Teraz... jest całkiem inaczej.

Yowamuchi patrzył to na nią, to na pole walki, gdzie trzech mężczyzn – skądkolwiek się wzięła tajemnicza dwójka –punktowało szalejącą Pan, która traciła znów inicjatywę... i usiłował sobie jakoś to wszystko uporządkować.

Bez skutku.

- Moja babka opowiadała mi kiedyś o was. – wyznał. – Wiedźmach. Lubilem jej opowieści, kiedy byłem dzieckiem, ale... – potrzaskał raptownie głową. – Nie, to bzdury! Ta cała magia... Nie chce mieć z tym nic wspólnego!

Kiedy otworzył oczy, czarownicy już nie było. Spojrzał w stronę kubka z niedopitym napojem i postanowił już to nie kończyć.

Postanowił skupić się na walce.

Z kilkulatka nadal zmagало się trzech wojowników. Może to jakaś hipnotyczny sztuczka, pomyślał. Tak, to na pewno przez to oko, dodawał sobie otuchy. Postanowił dalej obserwować widowisko, spokojny, kiedy fundamenty na których postawił swój świat zostały uratowane.

Gdzieś u szczytu trybun, poza wzrokiem pochłoniętych widowiskiem gapiów, niewielka staruszka wisiała w powietrzu na szklanej kuli. Czarny kruk usiadł jej na ramieniu.

- Załatwione. – powiedziała do ptaka. – Nie mamy się już czego obawiać. – mimo sukcesu nie wydawała się zadowolona.

Kruk chyba odgadł jej nastrój, bo zakrakał. A potem odezwał się w ludzkiej mowie:

- Lepiej, by pewne rzeczy zostały takimi, jakie są.

I odleciał.

Chwilę potem Pan znów opadła z sił i wylądowała na ziemi, niebezpiecznie blisko krawędzi wyznaczonego pola.

Tenshinhan był pod wrażeniem.

Pan, mimo młodego wieku, płci, braku doświadczenia, była bardzo trudnym przeciwnikiem.

Tkwiła w niej wielka ukryta siła, zupełnie jak w jej ojcu, kiedy był dzieckiem.

Zmusiła go, by użył Pełnej Techniki Trzeciego Oka. Nie dał jej jeszcze żadnej spektakularnej i chwytliwej nazwy, choć długi czas pracował nad tym, by ją opanować... czy raczej stworzyć, albo odkryć. Był ostatnim z trójki, jego przodkowie nie zostawili po sobie żadnego śladu,

więc jego starania przypominały raczej wędrówkę po omacku. Mimo to, udało mu się.

Osiągnął siłę przerastającą jego oczekiwania.

By użyć jej w walce z kilkulatka. Wielka przepaść dzieliła go od siły saian... ale nie teraz, nie w tej walce. Teraz miał wygrać.

Gdy pojawiły się jego „wersje”, od razu przystąpili do kontrataku na zdeorientowaną, choć nadal szalejącą Pan. Atakowali ją z trzech stron, w całkiem losowych kombinacjach i niepewnym rytmie, każdy kierowany indywidualnymi decyzjami, choć cel mieli jeden. O dziwo, z początku nawet zgrabnie unikała uderzeń i starała się atakować. Ryzykowała. Rzuciła się od jednego do drugiego, ale nie miała szans skutecznie zareagować.

Męczył ją, samemu też nie potrafiąc – i trochę się obawiając to robić – zadać ostatecznego ciosu. Aż w końcu jej szła minął.

Aż historia powróciła do wcześniejszego scenariusza.

Stał nad nią, wycieńczoną, próbującą zebrać się z ziemi. Mimo zmęczenia, patrzyła na niego zaciętym wzrokiem i dobrze wiedział, że Pan się nie podda. Miała w sobie ten sam upór, co jej ojciec i dziadek. Szanował to i cenił. W tej małej drzemał duch prawdziwej wojowniczk.

Szkoda tylko, że rodziło to pewien problem.

Kompletnie nie wiedział, co ma zrobić dalej.

Nie chciał jej nokautować, nie mógł tak po prostu zadać ciosu dziecku... przynajmniej nie, kiedy było mu bliskie. Nie chciał też jej męczyć dalszą walką, aż straci przytomność – zresztą nie był pewien, czy posiadając taką wolę walki szybko by do tego doszło. Pozostawało wyrzucić ją za arenę. Nie było to honorowe względem niej, ale jakoś musiał to zakończyć.

Limit techniki zbliżał się do końca – oko niedługo zacznie krwawic, a on opadnie z sił. Dlatego chciał zachować ten sekret do finału – mógł użyć oka raz na dobę, potem potrzebował odpoczynku. Na szczęście, finałowa walka będzie jutro. Stracił element zaskoczenia, jednak nie pokazał jeszcze wszystkiego.

Westchnął głęboko, widząc, jak dziewczynka zaciska pięści. To tak blisko, ledwie parę metrów...

Zamknął trzecie oko i znów był sam jeden.

- Musimy to zakończyć, Pan. – powiedział, by się usprawiedliwić, nachylając się w stronę małej i złapał ręką jej ramienia, by wyrzucić ją za linię.

Pan była oszołomiona.

Najpierw – nie potrafiła powiedzieć, skąd to przyszło -gwałtowny przyływ energii i gniewu wręcz przejął kontrolę nad jej ciałem. Widziała wszystko jakby z perspektywy obserwatora, jakby ktoś kierował jej nogami i rękoma. Nie zastanawiała się nad niczym. Myślała tylko o walce. Była walką.

Nie umiała tego wszystkiego ubrać w słowa, jednak tak się czuła.

Siła, którą udało się jej wyzwolić, przerosła zupełnie jej oczekiwania. Zadawała Tenshinhanowi cios za ciosem. Lewy prosty, prawy hak, wykop, półobrót, wykrok i wysokie kopnięcie –

tańczyła niczym w balecie.

Wtedy zrobiło się ich trzech.

Trzech Tenshinhanów, nie zupełnie podobni jeden do drugiego. Za to podobnie silni.

Otoczyli ją. Atakowali jednocześnie, jednak byli tak zgrani, by nie wchodzić sobie w drogę.

Kiedy jeden kopał nisko, inny atakował z wysiłku, a jeszcze inny celował w tułów. Mimo niesamowitej szybkości, jaką posiadała wraz ze wzrostem mocy, nie potrafiła sobie z tym poradzić.

Póki atakowała, euforia unosiła ją, jakby znalazła niewyczerpalne źródło energii. Kiedy przeciwnik, czy raczej – przeciwnicy, przełamali jej ofensywę, zaczęła słabnąć.

Tenshinhanowie nadal napierali. Zmieniali kombinacje ataków, nieodmiennie atakując jednak trzy punkty, które nie sposób było osłonić jednocześnie. Próbowwała uników, przyjmowania ciosów na gardę i cały czas się cofała.

O nie!

O kilka kroków od końca areny zorientowała się, co on planuje. Zerknęła za siebie, by ocenić odległość, jaką jej pozostała... opuściła gardę. Akurat tuż przed pięścią „oryginalnego” Tiena. Cios powalił ją na ziemię.

Kiedy już padła, zmęczone członki odezwały się z żądaniem, by dać im wytchnienie i już się nie podnosić.

Tien stał nad nią. Zupełnie tak, jak wcześniej. Tyle, że teraz było ich trzech... nie miała szans. Zaciśnęła dłonie, drapiąc palcami o piasek pod sobą.

Cokolwiek by zrobiła, zdoła najwyżej stawić czoła jednemu. To o trzykroć zbyt mało, by wygrać. Mimo to nie poddawała się. Mała dziewczynka, która załamałaby się i straciła nadzieję należała do przeszłości. Teraz była zupełnie inna: wyczekiwała na okazję, choćby ta miała się nie pojawić. Stał tak długi czas i zastanawiała się, co może mu chodzić po głowie.

Wtedy Tenshinhan zamknął oko.

Pan z całych sił dławiła śmiech. Wiedziała już, co on planuje. A ona całe życie mierzyła się z większymi od siebie. Nie była szczególnie zadowolona z tego, co planowała, ale uważała, że potrając się on też nie grał czysto.

Miała plan.

W niegdyś równej niczym stołowy blat niemczańskiej prerii powstał kolejny krater, kiedy Picollo znów został posłany na ziemię. W kurzawie, jaka się podniosła, i w deszczu skalnych odłamków i wstrząsie, jaki poniósł się po szelfie, było coś zupełnie nie pasującego do tego spokojnego miejsca.

Nameczanin zaśmiał się, gdy dwójka kompanów wylądowała przy nim, chyba by sprawdzić, czy przeżył.

- Nie tak łatwo mnie zabić, nawet jeśli się jest najsilniejszym we wszechświecie. –zadrwił.

- Nie wydaje się wam to dziwne? – zapytał Goten, korzystając z chwili, kiedy przykryła ich powłoka pyłu, by wymienić parę słów. – Jest silny. Bardzo silny. We trójkę nawet nie byliśmy w

stanie go dotknąć, ale...

- To za mało. – dokończył Trunks, który zawsze lubił zaskarbiać sobie puentę. – Gdybyśmy użyli transformacji, moglibyśmy z nim spokojnie konkurować. Do tego Piccolo, jesteś słabszy od nas, jednak nadal żyjesz.

Zielony szatan wstał, otrzepał z kurzu ubranie. Odpiął pelerynę, zdjął turban, naramienniki i buty. Wszystko natychmiast uderzyło o ziemię, jakby było przyciągane do powierzchni z niesamowitą magnetyczną siłą.

- Zobaczmy teraz. – odparł i rozciągnął ramiona splatając przy tym dłonie. – Jest silny, może nawet o wiele silniejszy od nas razem, ale nie ma doświadczenia.

- I zupełnie nie potrafi z tego korzystać. – chłopcy wymienili porozumiewawcze spojrzenia. – My też mamy asa w rękawie.

Strumień powietrza rozgonił obłoki kurzu i pyłu. To Saichoro klasnął w dłonie, wywołując falę wiatru. Osobliwa technika, która nie wiedzieli czemu miała służyć (potrafili lokalizować przeciwników wyczuwając ich ki). Niemniej jednak odnalazł ich, więc nie można było odmówić jej skuteczności.

- Tu się schowaliście. Z tej odległości wyglądacie jak robaki – drwił z nich, zawieszony wysoko w powietrzu. – I tak samo was rozgnio...

Coś, co pojawiło się znikąd, przemknęło niczym czarny piorun i uderzyło prosto w pochłoniętego rozpoczynając się przemowa Saichoro. Kompletnie nieprzygotowany na atak, zaskoczony, nie potrafiący odpowiednio zareagować, przyjął czyste uderzenie i lotem nurkowym, tak samo jak wcześniej Piccolo, poszybował w kierunku powierzchni planety, która jak okiem sięgnąć przypominała scenerię o deszczu meteorytów.

- Najstarszy nie żyje. – zaczął bez przywitania. – Pan Picollo! – wykrzyknął, kiedy uprzytomnił sobie ważny fakt. – Przecież Pan jest Nameczaninem!

Spojrzeli na niego zdezorientowani. Po pierwsze: wyzdrowiał, to było widać. Po drugie: udało mu się uderzyć Saichoro. Po trzecie: gadał, jakby nie do końca odzyskał rozum.

- Muszę coś panu przekazać! – zaczął i podleciał do nich jak błyskawica. – To wiadomość od Najstarszego... chyba wiadomość. – Zaczął enigmatycznie.

- Wy sobie pogadajcie, a my zajmiemy się przeciwnikiem. – wtrącił Trunks, gdy ziemia nieopodal eksplodowała i w polu widzenia pojawił się wściekły Saichoro. – Można go zaskoczyć, to dobrze dla nas, co, Goten?

- Tak. – przyznał krótko czarnowłose pół-saiyanin i uśmiechnął się szeroko, jak dziecko, które nie potrafi ukryć przygotowywanego psikus i razem ruszyli.

- Co to za wiadomość? – przeszedł do rzeczy Picollo. – Czy t strażnicy to zabili?

- Nie, Najstarszy odszedł sam. – w oczach Uuba zakręciły się szczere łzy. – A tamtymi już się zająłem. – wyciągnął rękę mi czołu Picollo. – Chyba tak to się robi.

Umysły obydwu światło.

- Dende, Dende?! – dobiegł go z troską głos, jakby zza ściany ciemnego i zimnego pokoju, do którego nie dobiegało żadne światło.

- Dende! – jakaś siła potrasnęła nim i drzwi na zewnątrz uchyliły się nieco, akurat na tyle, by wpuścić trochę światła, mocno kontrastującego z czernią wokół. – Otwieraj oczy, no już! – znajomy głos już nie był zagłuszony i wdzierał się nieustępliwie do jego świadomości. Postanowił go usłuchać i rozchylił powieki. Drzwi do ciemnego wnętrza otwały się i mógł już dostrzec, co się dzieje.

Byli w płytkiej grocie. Leżał, a Bulma klęczała nad nim, potrząsając jego ramionami.

- Już. – powiedział najpierw cicho, bez życia. – Już dobrze. – poprawił się i usiadł. – Straciłem przytomność?

Kobieta-naukowiec kiwnęła głową.

- Trochę ci umknęło. – zmartwienie w jęku zastąpił standardowy, lekko zarozumiały ton. – Pojawił się Uub...

Dende na tę wiadomość szczerze się uśmiechnął. To jedno mu się udało. Zastanawiał się tylko, co z drugim życzeniem...

- ...ale nie walczy. Zastygł w bezruchu razem z Piccolo. To dziwne. – kobieta zatopiła się na chwilę w wewnętrznych przemyśleniach. – Teraz walczą chłopcy. Musisz to zobaczyć!

Pociągnęła go za poły rękawa i przywlokła dopiero co rozbudzonego do niewielkiej szczeliny w ścianie groty, przez którą zbiegiem okoliczności dało się obserwować walkę. Nie zdążył zaprotestować, gdy niemal wepchnęła jego twarz w otwór.

- Nigdy nie widziałem czegoś takiego. – skomentował zdumiony, nie do końca jeszcze doszedłszy do siebie.

Dwóch pół-saiyan walczyło tak, jakby kierował nimi jeden umysł. Atakowali i osłaniali się wzajemnie, wirowali w powietrzu, nacierając seriami na przemian, próbując zaskoczyć przeciwnika z każdego możliwego kierunku. W tym nie było jednak nic niezwykłego, mimo ich godnego podziwu zgrania. W ten sposób nie mogliby zagrozić Saichro, nawet, jeżeli ten nie posiadał bojowego doświadczenia... a szybko się uczył.

Chodziło o ich fuzje.

Dende doskonale znał zasady i ograniczenia scalenia. Prócz tego, że wykonujący technikę musieli posiadać podobny poziom mocy i być tak samej rasy i postury, obejmowały ją jeszcze trzy istotne reguły. By dokonać zespolenia, wojownicy musieli odtanczyć specjalny układ, fuzja mogła trwać do pół godziny i następnej można było dokonać dopiero po kolejnej godzinie. Z tym, że nastoletni pół-saiyanie ominęli w jakiś sposób te zasady!

Przypatrywał się im dokładnie. Najpierw nacierali oddzielnie, atakując z dwóch różnych kierunków, by utrudnić przeciwnikowi obronę i uniemożliwić okazję do kontrataku. Saichro jednak był bardzo szybki, potrafił im zagrozić prostym, lecz silnym i niespodziewanym uderzeniem. Czasem udawał mu się zdradziecki atak, godzin prawdziwego wojownika. Hak pod żebra. Łokieć uderzający zakradającego się od tyłu wroga, wysokie kopnięcie tworzące lukę w jego obronie w sytuacji, gdy spodziewali się klinczu. Chłopcy wirowali wokół niego,

często zmieniali pozycję... A gdy Saichoro jeszcze przyspieszył i mógł im poważnie zagrozić – łączyli się w jednego wojownika, wdając się z nim w dłuższe wymiany ciosów.

Saichoro, wyraźnie poirytowany obrotem sytuacji, zaatakował wściekle. Zamaszysty sierpowy pomknął w kierunku Gotenska. Zwinęta w kułak dłoń pomknęła tak szybko, że nie miałby szans na unik. Gotenks jednak nie miał zamiaru co robić. W skupieniu wybrał moment, kiedy pięść była tuż jego twarzy i... rozdzielił się na dwóch.

Cios przeszył powietrze, a pewien swego Nameczanin, zaskoczony tym, iż w miejscu gdzie stał – czy też unosił się w powietrzu – jego przeciwnik, zastał pustkę, stracił równowagę.

Chłopcy, którzy już to okrażyli, wykorzystali ten moment i spalili się błyskawicznie. Dende przypartywał się temu tak dokładnie, jak mógł, jednak nie zauważył żadnego elementu znanego tańca. Pół-saiyane po prostu jakby wpadli na siebie i – pooh – w tym miejscu zamiast dwóch, pojawiała się jedna osoba, od razu gotowa do walki.

Gotenks nie tracił czasu. Niemal w tej samej chwili splótł dłonie i wymierzył odsłoniętemu Saichoro potężne, wyciskające powietrze z płuc uderzenie w plecy. Nameczanin pomknął przez niebo jak pocisk (ciągnął się za nim nawet biały obłok pary), przemierzył całą równinę aż zatrzymał się dopiero przy zderzeniu z górą wzrastającą gdzieś na linii horyzontu.

Ziemia się zatrzęsała i w powietrze wystrzeliła masa skał i pyłu, niczym z wulkanu. Tylko, że to nie był wulkan – nie istniały one na Nowej Namek. To trwający od wieków skalny monument wyrastający samotnie ponad jednostajną okolicą runął. Z zapadającej się góry, równie szybko, jak się w nią wstrzelił, wypadł Saichoro.

Pędził coraz szybciej, aż jego aura upodobniła go do spadającej komety. Z tym, że nie pędził ku ziemi. Jego celem był Gotenks. Pewien swego zwycięstwa odwrócił wzrok od miejsca z którego mógł przyjść kontratak. Spojrzał ku swoim towarzyszom. I wtedy uderzył Saichoro. Gotenks wyczuł go i już miał rozbić scalenie, jednak cios dobiegł jego policzka na moment przed rozpadem – w tył odrzuciło już dwóch poirytowanych nastolatków.

- To było nie fair! – warknął Trunks pocierając policzek. – Wy, tam w dole, bo stracie całą zabawę! – zawołał.

- I co? – Bulma oderwała to od szczeliny i zagadnęła radośnie. – Są super, co?

Dende nie podzielał jej entuzjazmu. Był Wszechmogącym i nauczył się widzieć więcej – a to, co zobaczył tym razem, zupełnie mu się nie podobało.

- Nie jest dobrze. – odpowiedział. – On jest coraz silniejszy, a chłopcy nie mogą się transformować. Jeżeli szybko go nie pokonają... – urwał w pół zdania. Bulma doskonale wiedziała, co chciał powiedzieć.

On za to wciąż myślał o swoim drugim życzeniu.

Pan miała plan.

- Musimy to skończyć, nie mniej mi za złe. – Tlen, już w jednej osobie, wyciągnął ku niej rękę. Nie miała mu za złe. Miała sobie za złe. Jednak musiała jeszcze raz zmierzyć się z Sauce Lee. Mimo, że walczyła z nim tak niedawno, zdążyła bardzo się zmienić. Nie wiedziała o tym,

jednak przestała być całkiem dzieckiem.

Pozwoliła mu się złapać.

Chwycił ją pewnie i mocno – zbyt mocno, by, obolała, mogła się wyrwać –i przygotował się, by jednym szarpnięciem wyrzucić ją z pola. Wyczekiwała. Instynktownie, kierowana doświadczeniem, którego nawet nie umiała ubrać w słowa. Czekala na ostatnią chwilę. Na tę sekundę, kiedy Tien przyniesie ciężar tak, by oderwać ją od ziemi...

Już!

Wyrzuciła rękę ku jego twarzy. Piasek dostał mu się do oczu, niweczając jego zamiary. Nie, nie taki tam zwykły piasek. Rozgrzany, rozpędzony, niesiony mikroskopijnym ki-ai. Drugą ręką chwyciła go dokładnie tak, jak on ją przede chwilą. W chwili ofiarą stała się myśliwym.

Pan, wykorzystując resztki ki i siłę swoich nóg, zaparła się o tułów przeciwnika, pociągnęła go do przodu, zapierając się plecami o ziemię i wyprostowała kolana, wykonując podręcznikowy rzut z wykorzystaniem masy przeciwnika. Tien wystrzelił w powietrze, akurat gdy przecierał oczy...

Czas jakby zwolnił.

Wszyscy w tłumie widzów, bez wyjątku, sledzili sekunda po sekundzie Ruch Tenshinhana w powietrzu. Głosy kibiców ucichły, zamilkli sprzedawcy przekąsek. Zaniemówił nawet komentator, zwykle mający aż nazbyt wiele do powiedzenia. Każdy patrzył, jak trójoki wojownik zmienia pozycje, by opaść na nogi.

- Ty mała cwaniaro! – odezwał się trochę rozbawiony, a trochę poirytowany. Przypomniat sobie wszystkie te lata, gdy razem z Chaozu robili w konia różnych naiwniaków. Teraz to on dał się podejść jak kompletny amator! A wszystko przez to, że nie potraktował Pan tak, jak prosiła. Jak każdego innego przeciwnika. – Teraz cię... – zaczął zdanie i cofnął stopę, by mocniej się wybić. Mała była bezsilna, jednak postanowił dać jej porządną nauczke.

Wtedy przerwał mu głos komentatora.

- Tenshinhan – zaczął jakby zmieszany. – o długość całej stopy opuścił pole walki! Koniec pojedynku!

Tien obejrzał się za siebie. Był na granicy! Jak mógł być tak nieuważny?! Kiedy cofnął nogę wyszedł poza arenę!

- Walkę zwyciężyła Pan! – zagrzmiat komentator pośród milczacej publiczności. Zagłuszał go jedynie wściekły ryk trójokiego wojownika.